

A portrait of Marian Zembala, an older man with white hair, wearing a white lab coat over a white shirt and a dark tie with white polka dots. He has his arms crossed and is looking directly at the camera with a slight smile. On the left sleeve of his lab coat, there is a red embroidered patch that reads "Zem", "ardias", and "osplan".

**Marian
Zembala**

*w rozmowie z Dawidem
Kubiatowskim*

Spotkania

*Opowieść o wierze
w człowieka*

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Anna Bałabuch

Projekt okładki: ULABUKA

Korekta językowa: M.T. Media Magdalena Tytuła

Autorka fotografii na okładce: Magdalena Krzak

Autor kadru z filmu *Bogowie* — Jarosław Sosiński (str. 37)

Pozostałe fotografie pochodzą z prywatnych zbiorów prof. Mariana Zembała oraz ze zbiorów ŚCCS

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-283-3729-9

Copyright © Dawid Kubiowski, Marian Zembała 2017

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Spis treści

PRZEDMOWA Piotr Głowacki 7

ROZDZIAŁ I Jeden z bogów 11

ROZDZIAŁ II Mój dom 39

ROZDZIAŁ III Pierwsze kroki w duży świat 65

ROZDZIAŁ IV Rodzina 109

ROZDZIAŁ V Moralność w zawodzie 131

ROZDZIAŁ VI Nauczyciel 157

ROZDZIAŁ VII Polityka 189

ROZDZIAŁ VIII Wiara 229

ROZDZIAŁ IX Aktualne problemy 255

ROZDZIAŁ X Aniołowie na straży 283

ROZDZIAŁ XI Przeszłość i przyszłość 301

DODATEK Kronika aktywności klinicznej
zabrzańskiej kardiologii w latach 1985 – 2017
w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu 315

Rozdział I

Jeden z bogów

¶ Panie profesorze, cała Polska zna historię profesora Zbigniewa Religi oraz pierwszego udanego przeszczepu serca w Zabrze. Jednak o zespole, który towarzyszył Relidze podczas pierwszych prób przeszczepu i zabiegu zakończonego sukcesem, większość z nas dowiedziała się dopiero z filmu Łukasza Palkowskiego *Bogowie*. Jak to jest być jednym z bogów?

Spokojnie. Nigdy nie uważaliśmy się za bogów i nikomu z nas takie porównanie nawet nie przeszło przez głowę. Przyznam, że z tytułem filmu od samego początku mieliśmy pewien problem. I nie tylko ja miałem problem, miała go również żona profesora Religi, która mówiła, że twórcy filmu trochę przesadzili. W naszej wspólnej rozmowie usilnie namawialiśmy autora scenariusza do zmiany tytułu na znacznie skromniejszy, ale pozostał nieugięty. Ostatecznie okazało się, że twórcy czuli ten tytuł nieco lepiej. Chcieli odrzucić pewną kulturową oczywistość, kulturową może nawet niezręczność, którą niesie ze sobą pojęcie „Bóg” w liczbie pojedynczej. Użyto w tym celu innej liczby — „bogowie”.

I w ten sposób niezręczność znika?

Bo kiedy mówimy „bogowie”, kiedy posługujemy się liczbą mnogą, wówczas ten element konfliktu metafizycznego się oddala. Wiemy, że nie mówimy o podmiocie naszej wiary, że jest to jedynie metafora, że bohaterów historii, którą za chwilę obejrzymy, było kilku, że mają ciało, że się pocą i mają swoje ludzkie, codzienne problemy, że są jednymi z nas.

Czyli mała litera na początku?

Zdecydowanie.

Ale pomimo to sugerował pan, razem z profesorem Bochenkiem, zmianę tytułu. Coś was w tym tytule uwierało.

Delikatnie sugerowaliśmy, że tytuł może nie jest do końca trafiony. Wydawał nam się zbyt, mówiąc wprost, egocentryczny, pyszny. Podpowiadaliśmy twórcom, że wolelibyśmy tytuł, który ma w sobie więcej pokory, więcej cech służebnych, ale scenarzysta Krzysztof Rak był nieugięty. Obstawiał przy swoim, nie było zmiłuj się. Pomogli nam uporać się z tytułem oglądający premierowy pokaz księży arcybiskupi: śląski Damian Zimoń i opolski Alfons Nossol, którzy uznali, że tytuł filmu można odczytywać służebnie wobec przekazu pomocy i zaangażowania dla dobra potrzebującego, bliźniego, bo w gruncie rzeczy samo pojęcie ma charakter służebny. Zwyczajnie — nie znaleźliśmy się na tym.

Nie było w was żadnych boskich cech?

Nawet przez chwilę. W filmie zresztą chyba widać, że nie było w nas triumfalizmu. Owszem, lubiliśmy iść pod prąd, ale byliśmy świadomi własnych wad i ograniczeń. Przede wszystkim była w nas pokora. Wiedzieliśmy, że musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by dojść do zamierzonego celu, którym był przeszczep serca. W pewnym sensie był to nasz moralny obowiązek. Dopiero po którymś z rzędu przeszczepie dostrześliśmy sukces, ale nawet wtedy był on gdzieś bardziej obok nas niż w nas samych. Owszem, udało nam się, ale codziennie nie patrzyliśmy w kamery, tylko w monitory przy łóżkach pacjentów. Ten sukces nas nie zaślepił, nie sprawił, że zaczęliśmy wierzyć w jakieś nadludzkie siły. To była

ciężka codzienna, systematyczna praca, dzień i noc. Radość i satysfakcja były czymś wtórnym. Priorytetem było ratowanie życia, przywracanie zdrowia.

Dobrze, nie byliście bogami, ale przyzna pan, że było w was jakieś nieludzkie szaleństwo?

Pracując z Religą, trzeba było, zwłaszcza w tamtych warunkach roku 1985, mieć w sobie nie tylko wiele samozaparcia, ale i trochę z szaleńca. Z jednej strony powróciliśmy ze staży naukowo-szkoleniowych w bardzo nowoczesnych klinikach w Holandii, Wielkiej Brytanii, USA, z drugiej zaś trafiliśmy na wymagający gruntownego remontu Zespół Poradni Zdrowia Psychicznego w Zabrze, który my sami adaptowaliśmy, trochę z pomocą budowlanych, na zabrzańską klinikę kardiologii i transplantologii. O sukcesie zdecydował chyba fakt, że będzie to pierwsza, ale przede wszystkim nasza klinika, przez nas wymyślona. Trochę zbudowana z murów, sprzętu i co najważniejsze z gotowych do poświęceń, bardzo ofiarnych i utalentowanych ludzi. Przecież chcieliśmy doskoczyć do wizjonerstwa profesora Religi, mimo że wspólnie tworzyliśmy bardzo zgrany zespół. Profesor bywał dla nas przewodnikiem, mentorem, który czuł się pewniejszy niż my sami w tej wizji nowoczesnego Zabrze. A może tylko taką wizję przed nami roztaczał? Nie miało to wówczas jednak większego znaczenia. On miał w sobie ułańską fantazję, co w chirurgii, szczególnie w tamtych czasach, często oznaczało dodatkowy problem. Był odważniejszy od nas. Świadomość tego stanu rzeczy pchała nas do przodu, chcieliśmy mu dorównać chociaż w tej odwadze. Ale to nie tylko my byliśmy szaleni. Wystarczy przypomnieć tu pielęgniarki, które z nami pracowały, perfuzjonistów, rehabilitantów, laborantki. Wspaniali, profesjonalni, bezkompromisowi ludzie, bez

których nie dalibyśmy sobie rady. Byliśmy szaleńcami, nie bogami. Prym w tym zawodowym szaleństwie, nieustannie i do końca, wiódł profesor Religa.

Pielęgniarki były ważną częścią zespołu?

Słabością ówczesnej medycyny w Polsce było to, że nie ceniło się pracy pielęgniarek. Doceniano je jedynie w tych szpitalach, gdzie lekarze mieli za sobą doświadczenie pracy za granicą. Na Zachodzie już wtedy pozycja pielęgniarki była zupełnie inna, partnerska, był to trwały składnik zespołu leczącego. U nas, w Polsce pielęgniarka traktowana była bardziej jako pomoc dla lekarza, gradacja obowiązków i kompetencji była inna, pielęgniarka miała wykonywać polecenia, i tyle. A na przykład w Holandii obsesyjnie dbano o pozycję pielęgniarek, liczono się z nimi. Pamiętam Uniwersytecki Szpital imienia Królowej Wilhelminy w Utrechcie, w którym pracowałem, gdzie zespół nie tylko lekarski, ale szczególnie pielęgniarski zrobił na mnie piorunujące wrażenie ze względu na kompetencje i stosunek do chorego! Tam liczył się głos każdego z teamu. Nieważne, czy była to pielęgniarka, czy profesor zwyczajny. Te wspaniałe pielęgniarki prezentowały sobą znakomity poziom wykształcenia. Wtedy w Polsce nie szkolono tak pielęgniarek, nie zwracano uwagi na to, jak ważną rolę odgrywają. Ten model udało nam się wprowadzić do Zabrze. Był to styl partnerstwa i odpowiedzialności. Gdy zaczynaliśmy pracę w Zabrzu, to te młode dziewczyny przyjeżdżały do nas aż z Nowego Sącza, gdzie wówczas była dobra szkoła medyczna, a jednocześnie nie było dla nich pracy. Były wśród nich również pielęgniarki ze Śląska, ale prawie żadna z nich nie miała nigdy wcześniej nic wspólnego z kardiologią. Musieliśmy się wspólnie uczyć. I nie ma w tym nic złego, gdy lekarz się uczy od pielęgniarki. Ja sam od holenderskich pielęgniarek

uczyłem się, jak na przykład należy poprawnie inkubować bardzo małe, kilkudniowe dzieci z wrodzonymi wadami serca, płuc. Prawdziwa praca zespołowa (z ang. *team work*).

Wspomniał pan kiedyś w wywiadzie, że ten sam *team work* widział na planie filmu.

Na planie *Bogów* widziałem pracę prawdziwego zespołu. Reżyser Łukasz Palkowski oczywiście miał zdanie decydujące, ale przebywając dwa dni na planie zdjęciowym, chwilami miałem wrażenie, że równie wiele mieli do powiedzenia inni członkowie zespołu: operatorzy obrazu i dźwięku, aktorzy, scenarzyści. Fantastycznie się uzupełniali. Pamiętam, jak na bieżąco szlifowano dialogi, aby pozbawić je jakiegś sztuczności. Raz przyniesiono taki naprędce poprawiony, trochę z moim udziałem, tekst mocno medyczny Tomaszowi Kotowi. I co on zrobił? Wziął, przeczytał i zaczął się cierpliwie uczyć, prosząc mnie tylko o dodatkowe wyjaśnienia, aby lepiej zrozumiał sens i znaczenie tego, co mówi. Tak pracują profesjonaliści, którzy mają wspólny cel. Dzięki *Bogom* zrozumiałem, że jeżeli chce pan promować jakąś ideę, to nie wolno uciekać od takich środków jak właśnie film, które dzisiaj szczególnie docierają do młodych ludzi. Nie mam wątpliwości, że twórcom filmu doskonale udało się pokazać to poczucie służby, które towarzyszyło nam od początków naszej pracy, od początków podglądania profesora Religi i uczenia się od niego. To był dobry Nauczyciel, i chciałbym prosić, by to słowo zapisać w tym miejscu właśnie wielką literą.

Nie było w was pokusy, by uważać się za ludzi wyjątkowych? Upraszczając, krąży w społeczeństwie stereotyp, że lekarze w przychodniach często uważają się za kogoś wyjątkowego. A wy przecież przeszczepialiście serca...

To w pewnym sensie prawda. Człowiek, gdy zakłada biały fartuch, staje się automatycznie władczy, stawia się często ponad chorem, a tymczasem pacjent pozostaje w łóżku sam ze swoją chorobą i często cierpieniem. Tak nie wolno. My nie dajemy życia, my je tylko próbujemy podtrzymać i wydłużyć — nawet jeżeli w tym celu musimy przenieść bijące serce w klatkę piersiową biorcy... W pokonanie choroby trzeba włożyć bardzo duży wysiłek. Największa odpowiedzialność spoczywa na całym zespole leczącym i jego liderze, i to ten lider właśnie musi mieć świadomość, że bez reszty współpracowników nic samemu nie osiągnie. Dlatego dobrego lekarza pozna się po tym, ile czasu poświęca najtrudniejszym chorym. Jeżeli ucieka od trudnych chorych, to znaczy, że jest próżny, zawodowo słaby i niestety leniwy. I wtedy należy zmienić lekarza, znaleźć lepszego.

Takiego podejścia do pacjenta również nauczył się pan na Zachodzie?

Dużo zawdzięczam mojej pracy i szkoleniu w Belgii (Katolicki Uniwersytet w Leuven), szkoleniu w Wielkiej Brytanii (Papworth Hospital w Cambridge) czy w ośrodkach USA, ale najwięcej wyniosłem z kilkuletniego okresu pracy w Holandii. W pewnym sensie to właśnie w Utrechcie zrozumiałem to, co powinno być dla każdego lekarza oczywistością — przede wszystkim pacjent, później zespół, a cała reszta na końcu. W Holandii czymś niepojętym było niepowitanie chorego podczas przyjęcia na oddziale przez gospodarzy, to jest ordynatora i pielęgniarkę oddziałową. Im trudniejszy był chory, tym bardziej doświadczony zespół lekarsko-pielęgniarski się nim stale zajmował, dając poczucie bezpieczeństwa i gwarancję profesjonalnej opieki. Świadomość wyprawy, czasami nawet bardzo trudnej, na „górski szczyt” w zmaganiach

z chorobą powinna dawać wielką satysfakcję zespołowi leczącemu i każdemu z jego członków. Lekarze powinni być takimi alpinistami, ale jak każda wyprawa, również ta w góry może być niebezpieczna. Dlatego musimy być dobrze zawodowo przygotowani, dlatego musimy mieć zespoły, na których możemy polegać w każdej sytuacji.

Cofnijmy się do lat, o których opowiada film. Przeszło panu kiedykolwiek przez głowę, że stworzycie historię, że kiedyś powstanie film opowiadający o początkach kliniki w Zabrze?

Ta świadomość pojawiła się we mnie dopiero po kilku latach, gdy nabrałem dystansu. Wielu z lekarzy zna historię medycyny, wie, jak doszło do odkrycia insuliny, wie, kiedy odkryto DNA oraz kto pierwszy na świecie przeszczepił ludzkie serce, płuca, wątrobę, trzustkę. Każdy kardiochirurg wie, że profesor Christiaan Barnard przeprowadził w 1967 roku pierwszą na świecie transplantację ludzkiego serca i że było to w Kapsztadzie, w Republice Południowej Afryki. I tak samo każdy transplantolog wie, że pierwszych prób przeszczepienia wątroby podjął się profesor Thomas Starzl w 1963 roku w Pittsburgu (USA). Każdy z pionierów tworzył legendę, która się trwale zapisała w historii medycyny. Podobnie było z profesorem Religą. To on otworzył, a może nawet wyważył drzwi, które w Polsce były wtedy dość szczelnie zamknięte. Tę historię ktoś musiał opowiedzieć. Wiedzieliśmy, że robimy coś ważnego, że po naszej pracy pozostanie trwały ślad w historii polskiej medycyny. Jest coś w naszej naturze, co nazywam poczuciem dowartościowania, którego nie da się przełożyć na żadne pieniądze. Ono może zmienić kolejność naszych priorytetów. Tak było w naszym przypadku. Przecież sami mówiliśmy do naszych żon: „Kochana żono, przepraszam cię, ale przez najbliższe dwa, trzy,

a może i dziesięć lat moim priorytetem będzie nie budowa domu, tylko rozwijanie naszego szpitala”. Nasze priorytety się wtedy zmieniały, ale nasze żony to akceptowały. One są potężną częścią naszego sukcesu.

Jakie było pana wrażenie po przeczytaniu pierwszej wersji scenariusza filmu?

Nie przypuszczałem, że film uda się tak szybko zrealizować. Po przeczytaniu otrzymanego od pana Krzysztofa Raka scenariusza napisałem do niego maila, trochę z wypiekami na twarzy, z krótkimi czterema punktami. 1. Jestem mile zaskoczony dobrze napisanymi dialogami. 2. Nie do końca rozumiem, skąd tyle „kurw” (a było ich od siedmiu do jedenastu na stronie, czyli niewyobrażalnie więcej, niż się to zdarzało mówić nawet profesorowi Relidze). 3. Andrzej Bochenek w scenie, w której zanosí wódkę innemu lekarzowi, by go namówić do pomocy w donacji dawców, powinien mieć przy sobie tylko dwie butelki, a nie dziesięć jak w scenariuszu. 4. (Ten czwarty punkt drażnił mnie szczególnie...). W filmie pierwszy biorca, pan Józef Krawczyk, którego osobiście znałem i szanowałem, wypowiada słowa, jakie nigdy nie przeszłyby mu przez usta, a mianowicie upewnia się, że serce nie będzie od jakiegoś „Żyda czy pederasty”. Byłem tym oburzony i domagałem się rezygnacji z tego sztucznie włożonego do ust i myśli Józefa Krawczyka tekstu. Niestety, pomimo wsparcia w tej sprawie żony profesora Zbigniewa Religi niewiele wspólnie wywalczyliśmy. Autor scenariusza, człowiek dobrze wychowany, pozostawał uparty i oporny jak przysłowiowy baran na wszelkie pozafilmowe argumenty. I tak niestety pozostało w filmie.

Czyli scenarzysta lub reżyser nie dzwonił po nocach, by konsultować swoje pomysły?

Nie przypominam sobie takich sytuacji. Krzysztof Rak dzwonił często, ale w ciągu dnia z pytaniami o medyczne i organizacyjne szczegóły albo żeby skonsultować ewentualne warianty wątków.

Autorzy przyjechali do Zabrza?

Od razu zaproponowałem, by pan Krzysztof zatrzymał się u nas tak długo, jak tylko będzie trzeba, i jak najwięcej czasu spędził z pielęgniarkami — zwłaszcza z tymi, które pracowały przez kilka lat z profesorem Religą. Ich przekaz był najbardziej obiektywny i prawdziwy. To był dobry ruch. Spodobał mu się ten pomysł. Przyjechał do nas i przez długie godziny siedział z naszymi dziewczynami, wysłuchując przeróżnych opowieści.

Kiedy minęły wątpliwości związane z filmem?

Ostateczna wersja scenariusza je całkowicie rozwiązała. Było w niej wiele empatii, na której nam zawsze zależało. Nikt nie chciał pomników. Dopiero wtedy zrozumiałem, że jest to materiał na dobry film. A kiedy dowiedziałem się, kto ma grać głównych bohaterów, a przede wszystkim profesora Religę, wówczas byłem zupełnie spokojny. Tomasz Kot był strzałem w dziesiątkę. Zapamiętałem go szczególnie ze znakomitej, kultowej roli Ryśka Riedla w filmie bardzo mi bliskim *Skazany na bluesa*. Odtwórcy roli Andrzeja Bochenka, mojej i innych postaci byli również bardzo dobrymi aktorami i trafionym wyborem. Te nazwiska znanych aktorów sprawiły, że wierzyliśmy, że jednak powstanie ciekawy film. Nigdy wcześniej nie

widziałem, jak się tworzy film, jak się przy nim pracuje. To w pewnym sensie dla mnie była ta magia kina.

Magią, z dzisiejszej perspektywy, jest dla wielu tło początków waszej pracy, czyli czas PRL-u z wszechobecną polityką. Świetnie to zostało pokazane w filmie.

Polityka rozumiana szeroko jest naturalną częścią życia, ważne, aby w naszym życiu nie pogubić właściwych proporcji, nie zbacać z wyznaczonych kierunków i nie stracić z oczu celów. Ze światem i ludźmi polityki byliśmy w pewien sposób zawsze związani. Sam Religa chciał być prezydentem, a swoją porażkę w tej kwestii bardzo przeżył. Był jednak posłem, senatorem. Film dobrze oddaje zniewolenie przez władzę autorytarną w latach, w których toczy się akcja filmu. Polityka była gdzieś zawsze obecna w naszym życiu. I tak jest chyba do dzisiaj. Nie na wszystko ma się znaczący wpływ, ale jednak ma się go trochę na to, co się robi z zastaną rzeczywistością. My robiliśmy co w naszej mocy, aby pomóc drugiemu człowiekowi niezależnie od siermiężności i szarości śląskich lat osiemdziesiątych.

Mówi pan, że nie chcieliście pomnika. Chyba się udało?

Pomnikami nikt nie zaprzętał sobie głowy, tymczasem ten film jest czymś ważniejszym — świadectwem, rodzajem żywego pomnika. Religa nigdy nie był sztuczny. Był bohater, ale już go nie ma i idziemy dalej? Nie. *Bogowie* mogliby się równie dobrze kończyć napisem „Ciąg dalszy nastąpi”, bo dziedzictwo profesora Religi nadal trwa. I już zawsze będzie trwało, nie tylko w Zabrze. Nasza zabrzańska historia, chociaż obfitowała w ludzkie emocje, była pozbawiona patosu. W filmie widać nasze ludzkie słabości w sposób niepozostawiający

jakichkolwiek złudzeń, że byliśmy ludźmi z krwi i kości, z pasjami i ułomnościami, że czasem ze zmęczenia padaliśmy na twarz. Pomnik może wprawiać w zakłopotanie, sugerować, że bohatera opowieści wraz z jego dziełem już nie ma. Nic bardziej mylnego w tej historii. Pomniki zresztą najczęściej są w czymś wyciosane, a Religa nigdy nie dawał się urabiać. Nawet jego walka z alkoholizmem, tak dobitnie pokazana w filmie, jest obrazem prawdziwego człowieka, z krwi, kości i słabości. Owszem, zastanawialiśmy się, czy nie ograniczyć scen z alkoholem w tle, ale twórcy *Bogów* doszli do wniosku, że to nie byłoby prawdziwe. Nie mogliśmy udawać i sztucznie omijać tego wątku w filmie.

W filmie z całej waszej trójki alkohol pije tylko profesor Religa.

Z Andrzejem Bochenkiem nigdy nie napiliśmy się alkoholu w obecności Religi. Nie wypiliśmy przy nim nawet grama piwa. Zналиśmy jego problem. To była nasza mała demonstracja, taka cicha krucjata. Wiedzieliśmy, z czym się zмага w tej materii, i nie mogliśmy być, by dobrze to powiedzieć, jakimś jego „usprawiedliwieniem”. To była taka nasza cicha demonstracja, że da się żyć bez alkoholu. W domu, owszem, zdarzało się nam napić lampkę wina albo coś innego, ale nigdy w jego obecności. On w pewnym sensie to czuł, co sprawiało, że przy nas był trochę sztywny w tej kwestii. Wydaje mi się, że czuł nawet mały dyskomfort. Zdarzało się, że mówił: „Napiłbyś się Marian wreszcie”, ale my też byliśmy uparci. Baliśmy się, że gdy się napijemy razem albo gdy sam profesor napije się o jeden kieliszek za dużo, wtedy może się nam posypać. A to był wspaniały, wybitny człowiek. Nie mogliśmy tego zepsuć i robiliśmy to, co było wtedy w naszej mocy. Czasem dla zabawy droczył się z nami o to. Ale my trwaliśmy przy swoim. Patrzył na nas wtedy sztywniej, nieco

chłodniej, ale chyba w głębi serca również szanował taką postawę. Kiedy zdarzało mu się popłynąć, wiedzieliśmy, że może na nas liczyć, a jak będzie trudniej, to zawsze możemy zadzwonić do pani Religowej, wyjątkowo spokojnej i wspierającej kobiety i żony. Religa to był znakomity człowiek, który miał pewne słabości, ale kto ich nie ma? Niestety, w jego przypadku zawsze znalazł się jakiś „dobry kolega”, który nigdy nie odmawiał. Profesor nigdy jednak nie stanął przed pacjentem po alkoholu. Czuł, że przekroczyłby granicę, zza której nie byłoby powrotu. Zamykał się wtedy na jakiś czas, uciekał. Przejmowaliśmy z Andrzejem Bochenkiem i Jerzym Wołczykiem jego obowiązki. Uzupełnialiśmy się we trójkę. Trzeba pamiętać, że ostatecznie wyszedł z nałogu. I to jest najważniejsze. Pokonał własną słabość, walczył z nałogiem.

Brał pan udział w tworzeniu scenariusza *Bogów*?

Byłem jedynie głosem doradczym, uzupełniającym. Gdy powstała już przedostatnia wersja scenariusza, a na horyzoncie zjawiały się terminy rozpoczęcia zdjęć, po raz kolejny straciłem pewność co do powodzenia tego przedsięwzięcia. Bałem się, czy jest dostatecznie dużo materiałów, z którymi twórcy będą mogli pracować. Pan Krzysztof Rak bardzo spokojnie podszedł do moich obaw. Pisał scenariusz zgodnie ze swoją wiedzą i w swoim stylu, czyli szybko. Ostateczną wersję scenariusza dostałem już po kilku miesiącach. I, co dziwne, w tekście odkryłem pewne elementy, których sam nie znałem albo o nich zapomniałem. To znaczy, że scenarzysta z reżyserem zadali sobie naprawdę wiele trudu, aby tak dokładnie, wiernie i jednocześnie plastycznie oddać tę opowieść.

Co pan czuł, gdy po raz pierwszy zobaczył film, który opowiada również pańską historię?

Może to za dużo powiedziane... Lepiej powiedzieć, że stałem się uczestnikiem tej historii po raz drugi. To, co powstaje na podstawie scenariusza, jest przez widza postrzegane z innej perspektywy, niż widzi to osoba, która ma w pamięci żywe obrazy tamtych zdarzeń. Mam świadomość, że w stosunku do tego filmu nigdy nie będę obiektywny.

Coś szczególnie uderzyło pana po pierwszej projekcji filmu?

Szczerze powiem: wszystko, co ten cały ambitny zespół Piotra Woźniaka-Staraka stworzył — zdjęcia Piotra Sobocińskiego juniora, muzyka Bartosza Chajdeckiego, scenografia Wojciecha Żogały, kostiumy Ewy Gronowskiej, montaż Jarosława Barzana, tempo akcji, dialogi i wspaniała, przekonywająca gra wszystkich aktorów. Urzekła mnie dbałość o szczegóły. Nie mogłem wyjść z podziwu, gdy na ekranie zobaczyłem ten sam kraciasty koc, którego używał profesor Religa, a który zawsze był na jego tapczanie. *Bogowie* przenieśli mnie ponownie nie tylko do tamtych ludzi, ale również do miejsc i przedmiotów. To była podróż w czasie. Niezwykle cenna podróż. Minęło przecież ponad trzydzieści lat, a okazało się, że ta historia we mnie, w nas nadal żyje, że potrzebowała jedynie bodźca, by powrócić z mocą każdego szczegółu. Tak, Łukasz Palkowski stworzył niezapomniany film, który otrzymał prestiżowe Złote Lwy na festiwalu w Gdyni w roku 2014.

Obudziły się emocje?

Zdecydowanie tak. Film był dla Andrzeja Bochenka, dla mnie i dla naszych zabrzańskich kolegów niezwykle miłym zaskoczeniem. Nie chcieliśmy, by był to film egocentryczny. Trochę

się tego baliśmy. Okazało się, że niepotrzebnie. Sposób narracji, reżyser, operator, aktorzy, charakteryzacja — oni z tych zdarzeń, z naszych historii poprzez formę, obraz i dźwięk wydobyli istotę naszej pracy oraz idei, która zawsze nam towarzyszyła: służby pacjentowi.

Ile razy widział pan film?

Nie przesadzę, jeśli powiem, że około dwudziestu. A dokładnie do dzisiaj osiemnaście, by być precyzyjnym. Wiele razy zapraszano nas na projekcje w różnych miejscach w kraju. Zostawałem zawsze na pokazach najczęściej poprzedzanych uroczystymi przemówieniami. I nie chodzi o to, że po zakończeniu części oficjalnej nie wypadało wychodzić z sali. Ten film zwyczajnie jest dobry, prawdziwy i chce się do niego wracać. Zawsze oglądałem go z ciepłem i nigdy nie wyszedłem z niego zmęczony, znudzony. Zresztą niezapomniana muzyka z tego filmu śni mi się często po nocach.

Jakie wrażenie zrobiła na panu ekipa podczas pierwszego spotkania?

Reżyser Łukasz Palkowski, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, mówił, że zainteresował go ciekawy materiał stworzony przez Zbigniewa Religę, jego ludzi i samo życie. Bardzo chciał zrobić film ze śląskim krajobrazem przemysłowego Zabrze, ale o mocnym i uniwersalnym przesłaniu. Z mojej perspektywy, czyli laika, wrażenie robił na mnie styl jego pracy z operatorami obrazu i dźwięku. My byliśmy jedynie świadkami tego procesu, ale imponował nam ten filmowy zespołowy profesjonalizm. Na samym planie zresztą byliśmy tylko dwa razy, by zagrać w jednej ze scen, kiedy bohater jest przesłuchiwany z powodu zabiegu operacyjnego, którego się podjął. Byliśmy przejęci i czuliśmy treść. Reżyser

uspokajał nas, mówiąc, że tak naprawdę nie wiadomo nawet, które z ujęć zostanie ostatecznie wykorzystane i wejdzie do filmu. To sprawiło, że poczuliśmy się jak statyści, którzy mają wykonać swoje nieskomplikowane zadanie. Trema została zredukowana do minimum.

A gdy zobaczył pan na planie Tomasza Kota, Piotra Głowackiego i Szymona Warszawskiego, to rozpoznał pan w nich Religę, Zembalę i Bochenka?

Gdy zobaczyłem Tomasza Kota w akcji, z jego ruchami, mimiką, nawet tym podobnym wzrokiem, to czułem, że Kot prawdziwie przywołał Religę. Nawet to charakterystyczne garbienie się, które oglądaliśmy u profesora codziennie, zostało zagrane mistrzowsko. Patrząc na Tomasza, nie można było mieć najmniejszych złudzeń, kogo on gra. A sposób, w jaki to robił... Jest bez dwóch zdań mistrzem. Dawid Warszawski był fizycznie podobny do Andrzeja Bochenka i odtworzył tę postać bardzo dobrze i przekonująco. Grający mnie Piotr Głowacki, ambitny i bardzo wszechstronny aktor, już mniej mnie fizycznie przypominał, ale to nie miało dla mnie istotnego znaczenia. Piotr Głowacki urzekł mnie swoją grą, odnalazłem w nim swoje cechy charakteru, stylu i sposobu pracy, nawet podczas zabiegu, komunikacji z chorymi i personelem pomimo braku fizycznego podobieństwa.

Piotr Głowacki powiedział w jednym z wywiadów, że w swojej postaci chciał przemycić przede wszystkim pański spokój.

Można powiedzieć, że trochę tak to w rzeczywistości było. Było jak w dobrym teamie — Religa był autentycznym liderem, który jako pierwszy otwierał drzwi. Andrzej już wtedy był znanym na Śląsku lekarzem, on się tutaj wychował, jego żona Krystyna była bardzo cenioną dziennikarką pracującą

w Radiu Katowice i „Dzienniku Zachodnim”, a później senatorem, nieszczęśliwie zginęła w katastrofie smoleńskiej. Ja zostawiłem żonę i czworo dzieci we Wrocławiu przez pierwsze kilkanaście miesięcy mojej pracy w Zabrze, zanim przeprowadziliśmy się do Tarnowskich Gór, więc mogłem się skupić na codzienności i byłem odpowiedzialny za bieżące funkcjonowanie oddziału kardiologii, gdzie spędzałem dzień i noc — przecież mieszkalem w szpitalnej dyżurce. Dobrze się uzupełnialiśmy. Ale nie wiem, czy zawsze byłem taki spokojny. Krew mnie jednak zalewała, gdy chory miał iść na zabieg, a w ostatniej chwili z niego wypadał za przyczyn, na które przecież nie zawsze mieliśmy wpływ. To moje holenderskie wcześniejsze poukładanie przez prawie pięć lat wielokrotnie w naszej ówczesnej zabrzańskiej rzeczywistości zawodziło, nie tylko z powodu braku szwów chirurgicznych, leków czy jednorazowego sprzętu takiego jak zastawki serca czy oksygenatory. Bez ofiarności i pomocy organizacji charytatywnych, z niezmordowanymi Polonusami takimi jak rodziny państwa Aleksandrii i Stefana Patrasiów, Leoniaków, później Lebrów i innych, nie byłibyśmy wówczas w stanie funkcjonować.

Mieliście jakieś materiały, zdjęcia, filmy z tamtego okresu, nad którymi mogliście wspólnie pracować?

Tak się dobrze złożyło, że na Wydziale Lekarsko-Dentystycznym w Zabrze studiował medycynę Klaudiusz Becker, Polak z niemieckim obywatelstwem. Współpracował z nami, interesował się kardiologią i spędzał z nami dużo czasu. On jako jedyny miał wtedy kamerę i dla celów dokumentacyjnych filmował naszą pracę, wybrane operacje, a zwłaszcza przeszczepy serca. Przyznam uczciwie, że filmował również na naszą prośbę, na potrzeby dokumentacji szkoleniowych, ale także na ewentualność procesów sądowych, gdyby ktoś zarzucił nam błąd w sztuce. Niektóre z tych taśm, bez żadnego

montażu, bez naszej najmniejszej nawet ingerencji, zostały twórcom filmu udostępnione. Na nich można było zobaczyć warunki, w jakich pracowaliśmy. I na ich podstawie, jak sądzę, budowano później scenografię filmową. My służyliśmy jedynie opowieścią, radą, jakimś fachowym nazewnictwem medycznym i tyle. Twórcy byli w pełni autonomiczni. Pomagaliśmy też trochę przy powstaniu ciekawego rekwizytu filmowego: serca, które również gra w filmie bardzo ważną rolę. Wykonane perfekcyjnie z masy plastycznej przez dwie młode i bardzo zdolne plastyczki, zadziwiało nie tylko naturalnym wyglądem i kolorem, ale zaopatrzone w elektroniczne urządzenia, kurczyło się na planie filmowym, do złudzenia przypominając zachowanie — w zależności od sytuacji i oczekiwania — zarówno zdrowego, jak i bardzo niewydolnego serca. Byłem pod wrażeniem jego „naturalności”, wyglądało jak prawdziwe. Oczywiście nie chcieliśmy aktorów nauczyć medycyny w kilka tygodni. Nie chodziło nam o nauczanie kardiochirurgii. Ważniejsze było, aby ekipa mogła poznać i poczuć klimat panujący w Zabrzu, i chyba się to udało.

Widzieli sale, w których operowaliśmy po raz pierwszy w roku 1985 i które pełniły tę samą funkcję do roku 2015. Byli w sali A utrwalonej na słynnym zdjęciu Jamesa L. Stanfielda opublikowanym i nagrodzonym w „National Geographic”: na nim profesor Religa, skrajnie zmęczony, czuwa przy chorym T.G., lat sześćdziesiąt trzy, po transplantacji serca, którego niestety nie zdołaliśmy uratować. Tej samej nocy, ale na innej sali operacyjnej (sala B) był wykonany drugi przeszczep serca — pacjent, Tadeusz Żytkiewicz z Warszawy, po tej operacji żyje do dziś i cieszy się dobrym zdrowiem. Film niesie ze sobą bardzo ważne przesłanie, któremu byliśmy wierni od samego początku naszej pracy, czyli służyć do samego końca. Wierzyliśmy w to, że granice są po to, by je przekraczać. Wierzyliśmy w medycynę i sens naszej pracy.

Wspominał pan kiedyś, że właśnie to przesłanie jest największym atutem tego filmu, że dzięki niemu studenci odkrywają sens pracy w tym zawodzie.

Często mówię moim studentom, młodym lekarzom, ale także zainteresowanej młodzieży, że ten film najpiękniej pokazuje właśnie wymiar służebny naszej pracy oraz znaczenie bardzo odpowiedzialnej pracy zespołowej, która wobec chorych starszych, trudniejszych staje się symbolem współczesnej medycyny. Nie jest to łatwy wybór, ale konieczny. Nam, niestety często jeszcze, pojęcie pracy zespołowej kojarzy się z rozmytą odpowiedzialnością, bo wszyscy to znaczy nikt. Tymczasem istotą *team work* jest odpowiedź na rosnące wymagania. Aby mieć coraz lepsze wyniki, aby śmiertelność była jak najmniejsza, musimy łączyć specjalizacje i ludzi wokół określonych zadań. Kto jest najważniejszy? Chory i tylko chory, a my, zespół leczący, mający wyznaczonego lidera w danym zabiegu, jesteśmy zobowiązani tak współpracować, aby podnieść jakość zabiegu oraz zmniejszyć ryzyko powikłań i niepowodzenia. Ten film doskonale oddał ducha naszego zabrzańskiego zespołu.

Dopuszciliście ekipę filmową do operacji?

Tak, w roli obserwatorów. Chcieliśmy, by trochę poznali i poczuli specyfikę tej pracy, czasem może napięcie, które jej towarzyszy, czy stan skupienia. Każda operacja, każdy zabieg w medycynie, niezależnie od zasad i przestrzeganych standardów, jest i pozostanie swoistym misterium wokół chorego człowieka. Taka postawa nie tylko mobilizuje zespół leczący, dobrze oddziałuje na jakość, ale odsłania często nowe obszary medycyny i nauki.

W filmie widać waszą determinację w dążeniu do celu. W prawdziwym świecie nigdy nie zdarzyło się wam zwątpić w sens waszego przedsięwzięcia?

Profesor Religa pod względem przekonań, również tych światopoglądowych, był, jak czasem mówiliśmy, niezatapialny. Deklarował, że jest agnostykiem, ale szanował wiarę i ludzi wierzących. Pamiętam raz, gdy mieliśmy operować świadka Jehowy, pojawił się problem transfuzji krwi. Świadkowie Jehowy nie mogą przyjmować obcej krwi. Myśleliśmy, że najlepszym wyjściem będzie namówienie chorego, by się zgodził na transfuzję w drodze wyjątku. Religa nam na to nie pozwolił! Absolutnie. Od razu uciął dyskusję. Kazał zobaczyć, jak w takich sytuacjach operują Amerykanie. I się udało, bez transfuzji. Religa był wyczulony na punkcie przekonań osobistych, religijnych, każdych, szanował wybór chorego.

Nigdy nie zwątpiliśmy w sens przeszczepu serca. Religa nie pozwalał nam na takie wątpliwości. Po pierwszej nieudanej próbie już po dwóch dniach mówił nam, że musimy się rozglądać za kolejnym dawcą. Nie było to łatwe zarówno dla niego, jak i dla całego naszego zabrzańskiego zespołu kardiochirurgów, kardiologów i anestezjologów.

Profesor był silny duchem nawet krótko przed śmiercią?

Pamiętam, kiedy Religa zaprosił mnie na spotkanie w Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii w styczniu 2009 roku i powiedział: „Marian, k... mać, mam niestety raka płuc i zdecydowałem się to ujawnić, aby powstrzymać przed paleniem tytoniu innych”. Był bardzo doświadczonym lekarzem, który wiedział, że aby mieć szansę w pojedynku ze śmiertelną chorobą, trzeba działać szybko. Ogłosił publicznie jak zawsze z empatią, że wygra z chorobą, ponieważ musi wygrać, i rozpoczął chemioterapię, którą bardzo ciężko znosił. Niestety, znosił ją tak

ciężko, że ją przerwał. Znikał nam w oczach w zastraszającym tempie. Trwało to trzy miesiące. Pochowaliśmy go z należnym szacunkiem na cmentarzu Powązkowskim. Reszta to już jego tajemnica.

Historia polskiej transplantologii zaczęła się w pewnym sensie w Zabrze, w szpitalu, na który nikt nie stawiał.

Historia polskiej transplantologii nerek rozpoczęła się w 1966 roku w Warszawie, dzięki wysiłkowi takich indywidualności polskiej chirurgii i medycyny jak profesorowie Jan Nielubowicz i Tadeusz Orłowski, oraz we Wrocławiu, gdzie profesorowie Wiktor Bross, Waldemar Kożuszek i Zdzisław Wiktor przeprowadzili pierwszy udany w naszym kraju przeszczep nerki od żyjącego dawcy. Transplantacje serca rozpoczęły się znacznie później, 3 grudnia 1967 roku w Kapsztadzie w RPA, od sukcesu Christiaana Barnarda i zespołu, w którym byli Marius Barnard i François Hitchcock — operacja się udała, jednak pacjent 53-letni Louis Washkansky zmarł po osiemnastu dniach z powodu ciężkiego zapalenia płuc. Szybko w dniu 2 stycznia 1968 roku Barnard dokonał drugiej transplantacji serca u doktora Philipa Blaiberga, a dawcą był młody człowiek, który doznał nieodwracalnego uszkodzenia mózgu podczas kąpieli w morzu. Blaiberg żył z przeszczepionym sercem ponad dziewiętnaście miesięcy. W Polsce pionierem transplantacji serca był profesor Jan Moll (w jego zespole byli kardiochirurdzy Antoni Dziatkowiak, Kazimierz Rybiński, Janusz Zasłonka), który w łódzkim szpitalu imienia Seweryna Sterlinga 4 stycznia 1969 roku podjął się pierwszej transplantacji serca w Polsce u trzydziestodwuletniego rolnika spod Bydgoszczy. Zabieg nie zakończył się powodzeniem, chory umarł na stole operacyjnym, ale zabieg i jego twórcy na trwałe weszli do historii polskiej transplantologii.

Od pierwszej próby do udanego przeszczepu serca upłynęły prawie dwie dekady.

Potrzeba było wiele czasu, ponad szesnastu lat, aby dzięki wysiłkowi profesora Zbigniewa Religi i jego zespołu w zabrzańskim szpitalu kardiologiczno-kardiochirurgicznym (oficjalna ówczesna nazwa to Wojewódzki Ośrodek Kardiologii, czyli WOK, jak go potocznie nazywano, a obecnie to Śląskie Centrum Chorób Serca) stworzyć pierwszy w kraju program transplantacji serca, a kilka lat później także płuc i mechanicznego wspomagania krążenia. Szpital był niewielki — ciasny, klaustrofobiczny — to była przecież adaptowana w roku 1984 poradnia zdrowia psychicznego, którą profesor Stanisław Pasyk, ówczesny dyrektor i ambitny kardiolog, przystosował do potrzeb bardzo potrzebnej na Śląsku kardiologii dorosłych i dzieci. Kardiochirurgia ze względu na brak wyszkolonych ludzi, brak oddziału i specjalistycznego sprzętu była na dalszym planie. Te braki musieliśmy jakoś nadrabiać i nadrabialiśmy ciężką pracą i ludzką życzliwością. Dzięki temu Zabrze stało się magnesem dla chorych na serce pacjentów. Każdy wiedział, że w Zabrze nie płaci się za żaden zabieg, co w tamtym czasie w Polsce nie było wcale czymś oczywistym. To była wielka zasługa pionierów Zabrze — twórcy zabrzańskiej nowoczesnej kardiologii profesora Stanisława Pasyka, twórcy kardiologii dzieci doktor nauk medycznych Lilii Goldstein i twórcy nowoczesnej zabrzańskiej kardiochirurgii i transplantologii profesora Zbigniewa Religi. My, młodsza generacja specjalistów, dojrzewaliśmy zawodowo w Zabrze wśród tych cenionych pionierów i przewodników — i to dojrzewaliśmy dość szybko.

Religa mówił, że za łapówkę zabije?

O tak! Te słowa padały wielokrotnie. I nie mówił tego na ucho, wszyscy o tym wiedzieli i wiedzieli, że nie żartuje. Tak, także w tej sprawie byliśmy swoistymi pionierami.

Inną charakterystyczną cechą zabrzańskiego szpitala było to, że my przyjmowaliśmy tych chorych, którzy byli odrzuca- ni w innych szpitalach, a którzy często byli już głęboko nie- wydolni. Jeżeli kardiologzy na Śląsku nie potrafili sobie po- radzić z jakimś przypadkiem, wówczas kierowali pacjentów do nas, a my stawaliśmy na uszach, żeby takiemu pacjentowi pomóc. Religa nigdy nie odmawiał przyjęcia trudnego przy- padku. Nie pamiętam takiej sytuacji. Zdarzało się, że chorzy byli w tak ciężkim stanie, że nie przeżywali nawet transportu do naszego ośrodka.

Pierwsi pacjenci z Zabrza do dziś wspominają nie tylko profesora Religę, ale również dwóch młodych lekarzy, któ- rzy ciągle biegali między pacjentami: pana profesora oraz profesora Andrzeja Bochenka.

Z Andrzejem łączy mnie długoletnia i trwała przyjaźń, i tak pozostanie. Było nas jednak więcej. Warto przypomnieć Jacka Molla, którego chciano wyrzucić z Łodzi tylko dlatego, że miał na nazwisko Moll. Przyjechał do nas i rozwijał się razem z nami. W filmie, na początku, to jego ojciec, wybitny polski kardiochirurg profesor Jan Moll wypowiada ważne słowa: „Polak Polakowi nawet porażki zazdrości”. Ten sam profesor Jan Moll powie później w filmie to, co jest istotą naszej pra- cy: „Chodzi o pokorę”. Podobnie było z Januszem Skalskim, który też z nami pracował w Zabrze, Michałem Wojtalikiem z Poznania, Romkiem Cichoniem, Romanem Przybylskim, Jerzym Pacholewiczem, Jerzym Wołczykiem, Krzysztofem

Filipiakiem, Jackiem Kaperczakiem, Bogusławem Ryfińskim i wieloma innymi.

Co z dzisiejszej perspektywy, po niespełna dwudziestu projekcjach, w których oficjalnie brał pan udział, uważa pan za największy atut filmu?

Jego przesłanie. Niestety za mało jest w codziennym życiu postawy służebności i empatii, która wybija się w filmie na pierwszy plan, przez całe dwie godziny trwania akcji filmu. Mam wrażenie, że tego filmu nie można zapomnieć, nie chce się go zapomnieć. Jedyne zarzut pod adresem *Bogów*, który usłyszałem, to ten, że film za szybko się skończył albo że pokazuje zbyt mały fragment naszej opowieści. Twórcy mieli jednak do tego pełne prawo. Ich intuicje okazały się strzałem w dziesiątkę. Proszę sobie wyobrazić, że mimo iż sam film trwa ponad dwie godziny, oglądamy i tak jego skróconą wersję. Materiału było o wiele więcej.

Wydarzenia w filmie obejmują jedynie trzy lata z waszej pracy. Opowiadają zaledwie część waszej historii.

Zabrze to nie tylko przeszczepy serca. To przede wszystkim nowoczesna kardiologia z zabrzańskim, a później dzięki nam ogólnopolskim modelem leczenia zawału serca modelem angioplastyki wieńcowej i dostępnością inwazyjnej kardiologii przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To także inwazyjna kardiologia dorosłych i dzieci oraz nowoczesna kardiochirurgia. U nas w Zabrzu we współpracy z lekarzami, inżynierami i badaczami powstawały też sztuczne komory, jako pierwsi w kraju ratowaliśmy noworodki nieprzystosowane do życia programem ECMO, pierwsi w Polsce przeszczepiliśmy jednocześnie serce i płuca, a potem pojedyncze płuca i oba płuca. Rozwinęliśmy programy nowoczesnej kardiochirurgii,

wprowadzając pierwsze w kraju zabiegi w przewlekłej zatorowości płucnej, małoinwazyjne zabiegi zastawkowe serca, a hybrydowa ablacja i hybrydowa rewaskularyzacja stały się znaną marką zabrzańskich kardiologów i kardiochirurgów. Dzieliliśmy się doświadczeniem z innymi zarówno w kraju, jak i za granicą. I tak jest do dzisiaj. Byliśmy bardzo zaangażowani w pomoc dla Ukrainy, Kosowa, Mołdawii, ale także Cypru, Boliwii, Ekwadoru, gdzie szkoliliśmy lekarzy. Jeden film, siłą rzeczy, nie jest w stanie oddać całości naszej pracy, zresztą byłby nie do oglądania.

Film kończy się historycznym zdjęciem. Według „National Geographic” to jedno ze stu najważniejszych fotografii wszech czasów. Jego autor, James Stanfield, był w klinice przez dziesięć dni.

Tak, film przywołuje to niezwykle zdjęcie, które zostało wyróżnione II nagrodą w kategorii Nauka i Technologia World Press Photo i które obiegło świat. Wykonano je w roku 1987, kiedy fotograf James L. Stanfield z bardzo słynnej gazety „National Geographic” nieoczekiwanie zawitał do nas do Zabrze na własną prośbę na kilkunastodniowy pobyt. A my, trochę naiwnie, chcieliśmy mu zasugerować, co ma się na jego zdjęciach znaleźć. Słuchał nas cierpliwie, dużo pytał, ale zdjęcia i tak robił po swojemu. I dobrze! To jedno zdjęcie, z początków naszej pracy w klinice, mówi więcej niż tysiąc słów. James Stanfield mieszkał z nami w szpitalu przez ponad tydzień, spał z nami. Patrzył nam na ręce i fotografował wszystko, nieustannie, a proszę pamiętać, że my wtedy operowaliśmy dzień i noc. Najciekawsze jest jednak to, że nikt nie pamięta chwili, w której James zrobił właśnie to zdjęcie. W tym zdjęciu nie ma pozy, gry. Wobec kontrowersji w interpretacji tego zdjęcia dokonaliśmy wnikliwej analizy wyglądu i detali sali operacyjnej z udokumentowanym zapisem protokołów operacyjnych

zawierających nie tylko nazwisko operowanego pacjenta, ale i składy zespołów operacyjnych oraz szczegóły operacji. Zdjęcie jest niesamowite, to prawda. Stało się trwałym i uniwersalnym symbolem najpełniej przekazującym zarówno dramat chorego (T.G., lat sześćdziesiąt trzy), po transplantacji serca zmarłego na stole operacyjnym, jak i dramat doświadczonego lekarza (profesor Zbigniew Religa), który ten zabieg wykonał. Bohaterem drugiego planu na zdjęciu jest nasz zdolny kolega, wówczas młody kardiochirurg Romuald Cichoń, który uczestniczył w tym zabiegu i spędził z nami w Zabrze kilka dobrych lat.

Na zdjęciu widoczne są płytki na sali operacyjnej, które pamiętamy z filmu. Powiedział mi pan kiedyś, że kładł je własnoręcznie.

Rok po skończeniu studiów, już jako lekarz, w Niemczech, we Frankfurcie zwyczajnie dorabiałem. Rano pracowałem w laboratorium doświadczalnym, ucząc się i wykonując prace badawcze, a wieczorami z kolegą inżynierem układałem w prywatnych domach kafelki. Tej pracy budowlanej uczyłem się od niego. Korzyść była bezsporna, sama bowiem praca w laboratorium badawczym — skądinąd znakomita, o jakiej mogłem tylko marzyć — wystarczała mi zaledwie na pokrycie skromnego mieszkania i skromne dwa posiłki dziennie. Chciałem nieco zarobić: otrzymaliśmy wtedy we Wrocławiu na Biskupinie nowe mieszkanie i trzeba było pomyśleć o jego umeblowaniu, łącząc przyjemne z pożytecznym. Przywiozłem wtedy do domu 1260 marek. Za te pieniądze kupiłem ładne węgierskie meble do reprezentacyjnego pokoju. Jak widać, każda umiejętność się przydaje. Mnie się bardzo przydała w 1985 roku, gdy remontowaliśmy nasz szpital w Zabrze, przygotowując uruchomienie kardiochirurgii.

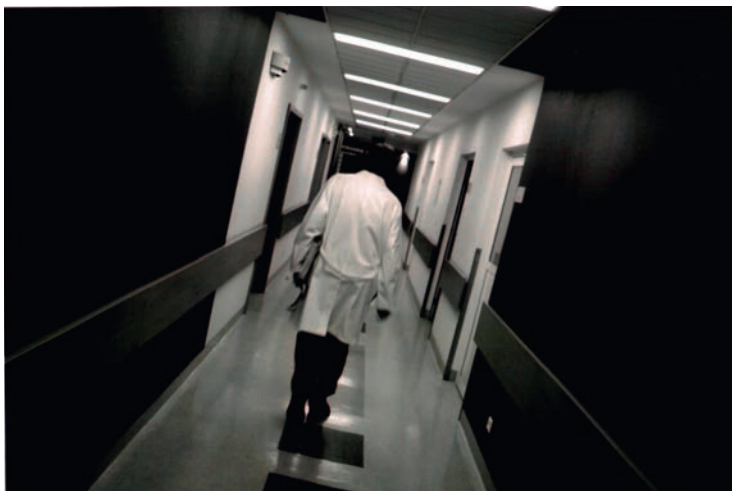


Kadr z filmu Łukasza Palkowskiego *Bogowie*.

Na zdjęciu (od lewej): Szymon Piotr Warszawski, Tomasz Kot, Piotr Głowacki



Materiały prasowe. Od lewej: Piotr Głowacki, prof. Marian Zembala, Tomasz Kot, prof. Andrzej Bochenek, Szymon Piotr Warszawski



Nocny spacer korytarzem śląskiego centrum Chorób Serca w Zabrze.
Na zdjęciu: Marian Zembala

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

*Moje życie ukształtowały wspaniałe spotkania. Nie byłbym dzisiaj tym, kim jestem, gdyby nie ludzie, których spotkałem na mojej drodze — **usłyszałem kiedyś od prof. Mariana Zembała**. Nie sposób było przejść obojętnie wobec takich słów. Tym bardziej że wypowiadał je człowiek, który wykonał tysiące operacji ratujących ludzkie życie, który wspólnie z prof. Zbigniewem Religą tworzył legendę polskiej transplantologii. *Każde spotkanie jest zaciąganiem długu, który wypada spłacić* — dodawał już później wielokrotnie, gdy spotykaliśmy się w trakcie prac nad książką.*

Powiedzieć, że prof. Marian Zembała jest wybitnym lekarzem, który zapisał się w annałach polskiej medycyny, to zdecydowanie za mało. Wystarczyłoby jednak użyć trzech słów-kluczy, by, w sposób najbardziej uczciwy, opisać jego postać: służba, empatia, zespół. To one stanowią punkty odniesienia każdego działania profesora oraz źródło jego sukcesów.

Od 1985 roku, gdy wspólnie z prof. Zbigniewem Religą oraz prof. Andrzejem Bochenkiem tworzył zabrzańską kardiokirurgię i transplantologię, na dobre związał się ze Śląskiem. Był członkiem zespołu kardiokirurgów, którzy przeprowadzili pierwszą udaną transplantację serca, oraz jako pierwszy w Polsce przeszczepił płuco-serce. Dziś jest dyrektorem słynnego w całej Europie Śląskiego Centrum Chorób Serca.

Na swojej drodze spotkał największe osobowości świata medycyny, ale najczęściej we wspomnieniach powraca do prof. Zbigniewa Religi, swojego Nauczyciela, prosząc jednocześnie, by używać w tym słowie wielkiej litery.

Nie potrafi mówić o sobie, jest za to mistrzem opowieści o innych, których poznał w swoim życiu, a którzy go ukształtowali i ukierunkowali. Prof. Marian Zembała spłacił zawiązką dług, który w jego mniemaniu zaciągnął. Z perspektywy czasu o swojej pracy dla pacjenta, o niezliczonych przeszczepach serca mówi: *Byliśmy szaleńcami, nie bogami*.

Dawid Kubiawski



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

Patroni medialni:



medycyna **praktyczna**

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-3729-9



Cena 44,90 zł